

Mariusz Cieřlik: Najwybitniejsze dzieło Leopolda Tyrmanda

„Dziennik 1954”, „Filip”, „Życie towarzyskie i uczuciowe” to książki w dorobku Tyrmanda najlepsze, właśnie dlatego, że pisze w nich o sobie. O swoich losach i swoich obserwacjach. O ludziach, których spotkał, i wydarzeniach, którym się przyglądał. Jest w tym niesłychanie przenikliwy i bezkompromisowy. Chciałbym kiedyś zobaczyć taki film biograficzny o Tyrmandzie, jaki on sam by o sobie napisał – pisze Mariusz Cieřlik w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tyrmand. (Pop)kultura podmiotowości”.

Trzeba to wreszcie jasno powiedzieć! Kiedy, jak nie teraz? Uważam, że książki Leopolda Tyrmanda nie przetrwały próby czasu. Rozumiem i doceniam legendę *Złego*. Wiem, jak ważnym jest punktem odniesienia dla polskiego kryminału i wszystkich autorów, którzy piszą o Warszawie. Jednocześnie mam przekonanie, że jest to książka, która najbardziej ze wszystkich dzieł Tyrmanda się zestarzała. Zresztą inne jego opowiadania i powieści też wydają się dziś niezbyt przekonujące. W stulecie urodzin pisarza, sięgając kolejny raz po jego książki, upewniłem się co do intuicji towarzyszącej mi od ponad 30 lat., że najwybitniejszym dziełem Leopolda Tyrmanda jest jego biografia.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

Cóż takiego stało się tych 30 lat temu z okładem? W roku 1989 ukazało się pierwsze krajowe wydanie *Dziennika 1954*. Jeszcze (kto to dziś pamięta?!) z ingerencjami cenzury, dotyczącymi bodaj komentarzy na temat wieczystej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Pamiętam towarzyszące mi podczas lektury wrażenie, że Tyrmand nie mógł tego wszystkiego napisać w czasach polskiego stalinizmu. Że musiał to jakoś

ulepszyć przed publikacją, uzupełnić wiedzą nabytą przez lata emigracji. A jednak, jak dowiódł badacz twórczości pisarza Henryk Dasko, *Dziennik 1954* naprawdę powstał w roku 1954.

Film o Tyrmandzie to powinien być film z pościgami, wybuchami, inscenizacją wojny i podróżami międzykontynentalnymi

Dziennik 1954, Filip, Życie towarzyskie i uczuciowe to książki w dorobku Tyrmanda najlepsze, właśnie dlatego, że pisze w nich o sobie. O swoich losach i swoich

obserwacjach. O ludziach, których spotkał, i wydarzeniach, którym się przyglądał. Jest w tym niesłychanie przenikliwy i bezkompromisowy. Chciałbym kiedyś zobaczyć taki film biograficzny o Tyrmandzie, jaki on sam by o sobie napisał. Bo ten, który powstał, pseudonimujący bohatera (*Pan T.*), trudno uznać za w pełni udany. W czym zresztą spora zasługa spadkobierców pisarza, którzy ponoć lepiej od filmowców wiedzą, jak się robi filmy. Ale główny problem z *Panem T.* jest inny. To typowy polski film, zrobiony za pięć złotych. Tymczasem, żeby biografia Tyrmanda mogła się udać, powinno to być kino w stylu Indiany Jonesa – intelektualisty i awanturnika w jednym. To powinien być film z pościgami, wybuchami, inscenizacją wojny i podróżami międzykontynentalnymi.

Część pierwsza powinna się rozpocząć jesienią 1939 r. na pograniczu sowiecko-niemieckim. dziewiętnastoletni Tyrmand, który uciekł przed Niemcami z Warszawy, usiłuje utrzymać się z przemytu i przeprowadzania ludzi przez zieloną granicę. Z pewnymi sukcesami. W końcu jednak wylądował w Wilnie, a po jego zajęciu przez Rosjan pisywał do propagandowych gazet wydawanych przez komunistycznego okupanta. To jest właśnie ten moment, który zaważył na jego życiu. Będzie to przez długie lata ukrywał. Ale być może było to konieczne, żeby obiecał sobie, że już nigdy więcej. Już w Wilnie odkupił winy, nawiązując współpracę z AK-owską partyzantką. W czerwcu 1941 r., cóż za filmowa scena, uciekł ze zbombardowanego przez Niemców pociągu, który wiozł go na Sybir. Potem ukrywał się w III Rzeszy, podszywając się pod obywatela Francji, bo jako Żyd nie miał wielkich szans na przeżycie. Pracował w knajpach i hotelach, co opisał w *Filipie*,

a wreszcie zamustrował się na niemiecki statek, tylko po to, żeby z niego zbiec. Kolejna niezwykle filmowa sekwencja kończy się tym, że zostaje złapany i umieszczony w obozie koncentracyjnym koło Oslo. To wszystko są wydarzenia doskonale znane czytelnikom jego biografii i książek. Ta sekwencja, nazwijmy ją awanturniczą, byłaby dobrym wstępem do części zasadniczej.

Socrealistami pogardzał, a jeszcze bardziej pogardzał tymi, którzy najpierw pisali o wspaniałych ubekach, a potem rozpaczali, że się pomylili.

Jest rok 1945. Tyrmand wraca do Polski, coraz śmieiej marząc o karierze pisarskiej. Zbiera opowiadania do pierwszego tomu (*Hotel Ansgar*), a

utrzymuje się z pisania dziennikarskiego. Z „Przekroju” wylatuje za napisanie prawdy o nieuczciwości sowieckich sędziów bokserskich. Później trafia do „Tygodnika Powszechnego”, ale kiedy pismo odmawia wydrukowania nekrologu Stalina, razem z całą redakcją ląduje na bezrobociu. To wszystko są wydarzenia dobrze znane choćby z *Dziennika 1954* i biografii (np. *Zły Tyrmand* Mariusza Urbanka), więc niczego wielkiego tu nie odkrywam. Idzie mi tylko o to, że przecież pisarz miał wtedy znacznie prostszy wybór. Żeby zrobić karierę, wystarczyło wydawać powieści o dobrych ubekach (jak Kazimierz Brandys) albo jeszcze lepszych partyjnych sekretarzach (np. Jerzy Andrzejewski i Tadeusz Konwicki). Jakoś żadnemu z socrealistów, piszących haniebne kłamstwa o ówczesnej Polsce, w dalszej karierze to nie zaszkodziło. Ba, kiedy przechodzili na stronę rewizjonistów, a potem opozycji, fetowano ich na salonach. Nie tylko polskich. Tyrmanda nie fetowano, bo nigdy niczym podobnym się nie splamił. Socrealistami pogardzał, a jeszcze bardziej pogardzał tymi, którzy najpierw pisali o wspaniałych ubekach, a potem rozpaczali, że się pomylili.

W roku 1956 Tyrmand jest literacką gwiazdą kochaną przez czytelników, ale lekceważoną przez elity i krytykę. *Zły* to jeden z największych sukcesów tamtej epoki, również w sensie komercyjnym. Ta powieść to zwiastun odwilży, ale specyficzny. Nie jest to *Poemat dla dorosłych* politruka Ważyka, który „odkrył” to, co wiedzieli wszyscy: że budowa socjalizmu wygląda inaczej niż w czytankach. To powieść z

ducha amerykańska, z komiksowym bohaterem, którą potraktowano niezbyt poważnie. Tym bardziej że Tyrmand zamiast zająć się rozterkami w duszach ubeków i socrealistów, promował w tamtym czasie jazz, uważając, że to muzyka dająca prawdziwą wolność. W czasach gomułkowskiej normalizacji Tyrmand walczy o pisarską podmiotowość w warunkach komunizmu i tę bitwę w końcu przegra. Nie jest w stanie nic opublikować, jego książki nie są wznawiane. Nie dostaje paszportu. I znowu. Mógłby podjąć jakąś grę. Z władzą i środowiskiem. Zamiast tego rzuca wszystkim w twarz jadowity pamflet *Życie towarzyskie i uczuciowe*. Skończy się tym, że wyda tę książkę w Paryżu u Giedroycia. W Polsce, mając 45 lat, będąc w pełni pisarskich sił, jest skończony.

W roku 1966 w Ameryce zaczyna wszystko od nowa. W nowym języku. I znowu odnosi sukces. Emigrant ze wschodniej Europy zaczyna publikować w „New Yorkerze” i wykładać na nowojorskich uniwersytetach. Tyle że znowu okazuje się zbyt bezkompromisowy. Ameryka, której kulturę wielbił i uważał za synonim wolności, okazuje się krajem zniewolonych elit. Jego zbyt radykalny sprzeciw wobec komunizmu i kontrkultury, a także ataki na media i Hollywood, zamknęły mu drogę do kariery. W efekcie ląduje gdzieś na marginesie debaty publicznej, w konserwatywnym think tanku.

Nie ma w naszej historii czasów komunizmu wielu takich przykładów pisarskiej i obywatelskiej niezależności, jakie dał Tyrmand.

Nie o to nawet chodzi, że Tyrmand miał w tym sporze rację, tak jak miał ją wcześniej w Polsce, gdy odmawiał wzięcia udziału w socrealistycznym

cyrku pcheł i gorzkich żalach nawróconych stalinistów. Idzie o to, że całe życie był wierny powołaniu intelektualisty, idąc pod prąd wyborom większości i odmawiając negocjacji w kwestiach fundamentalnych. Nie ma w naszej historii czasów komunizmu wielu takich przykładów pisarskiej i obywatelskiej niezależności, jakie dał Tyrmand. Może jeszcze dwaj jego przyjaciele, jakże dobrze znani z kart *Dziennika 1954*, Stefan Kisielewski i Zbigniew Herbert.

Podejrzewam, że gdyby autor *Złego* dożył upadku komunizmu, poszedłby na kolejną wojnę, stając wewnątrz polskim sporze po stronie tych, którym po 1989 r. usiłowano odebrać głos. Tak jak zrobił to Herbert i ku czemu skłaniał się Kisiel. Jego biografia przekonuje, że dla prawdy był gotów na największe ryzyko. To dlatego wciąż warto czytać Tyrmanda i czytać o Tyrmandzie. Nawet jeśli jego literatura trochę się zestarzała.

Mariusz Cieślik



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego